Nowe horyzonty myśli łowieckiej.

Oddawna pokutuje tak u naszych, jak i obcych autorów kwestja podziału zwierzyny myśliwskiej i polowania na nią.

Ostatnio umieścił „Przegląd..." na ten temat poważne artykuły pod tyt.: „Nowe horyzonty myśli łowieckiej" i „O potrzebę i jednolitość podziału zwierzyny".

Ponieważ każde inne zadanie, każde inne oświetlenie może przyczynić się do ustalenia opinji w powyższych kierunkach, podaję niżej swe zapatrywanie na temat, w którym także między autorami małopolskiego „Łowca", a „Przeglądu...." kwitnie polemika, t. j. która zwierzyna zasługuje na zaliczanie do wysokiej klasy polowania, a która do niższej (u Niemców „Die Hohe Jagd" i „Niederjagd").

Ponieważ o klasyfikowaniu fauny myśliwskiej można też powiedzieć, że co kraj to obyczaj, a więc, że okolicami ocenia się ją rozmaicie, czy ze względu na jej większą lub mniejszą wartość, czy to z rozmaitych punktów widzenia na kryterjum decydujące o klasie, dlatego na tej drodze nie wydaje mi się, abyśmy kiedy doszli do jednolitego zdania.

Jest jednak całkiem inny punkt wyjścia, który mógłby być powszechnie przyjętym z powodu jednolitego (na razie w teorji) zapatrywania na odnośne kryterjum w całym zachodnim świecie myśliwskim.

Zostawmy zwierzynę z jej indywidualną wartością myśliwską w spokoju, nie usiłujmy wtłaczać jej w szablony, a zwróćmy się ku wskazaniom, raczej historycznym, z nazw wyżej podanych.

Czyż nie naturalniejszym jest podział oparty na sposobie polowania, a nie na rodzaju zwierzyny, skoro ten ostatni w każdej okolicy inaczej bywa ceniony?

Dzisiaj zwierz zdobyty kulą daje w całym kulturalnym świecie myśliwskim najwyższe trofeum — odkąd oszczep i kordelas ściany zdobią.



WYJAZD NA ŁOWY.

A więc wedle tej zasady mielibyśmy tylko dwie klasy: wysokie polowanie — kulą i niższe polowanie — śrutem. Że podział ten tkwi w naturalnem wyczuciu myśliwskiem — to pewna.

Byłem raz na polowaniu w Karpatach (w Mikuliczynie), na królewskiego zwierza, którego stado ruszyło z ostępów w setki idąca naganka, zająwszy całą górską kotlinę.

Rosnący szum i trzask łamanych gałęzi znaczył przebijanie się jeleni — samych rogaczy — przez młodą gęstwę leśną ku strzelcom, kryjącym swą linję w obrzednim starodrzewiu.

Stała się rzecz fatalna, widoku której nigdy

z oczu nie stracę; jeden z sąsiadów, smutnej pamięci, wpakował ładunek śrutu w potężnego byka, który, jakby na krwawy wyrzut sumienia, z całkiem zfarbowanym bokiem przedefilował między wysuwającą się z gąszcza linją naganiaczy, a nami — i znikł na flance.

Było to możliwie najniższej klasy polowanie!

Odwrotnie — gdy świętej pamięci Artur i Andrzej Potoccy polowali w Krzeszowicach, specjalnie budowanemi na zające małokalibrowemi sztucerami — młody wtedy chłopak, — rosłem w poczuciu wysokiego polowania, które mi po dziś - dzień pozostało.

Nie ma kwestji, że strzał kulą jest nietylko trudniejszym, ale i czyściejszym, że się tak wyrażę, od śrutowego, a temsamem użycie jego — uszlachetnia każde polowanie.

Należy jeszcze podnieść, że takie kryterjum, pozostawiając zwierzynie jej indywidualną i lokalną wartość myśliwską, przenosi natomiast swe działanie na myśliwych - strzelców.

Oto w prędce zróżniczkuje ich ono na tych co „idą" na mięso, ci zostaną, gdzie tylko można, przy strzale śrutowym, nie mają bowiem żadnych wyższych aspiracji prócz zdobycia jaknajwiększej ilości combrów etc. — i na myśliwych zdolnych do kierowania się w wykonywaniu polowania stroną wysoce sportową strzału kulowego, ale także korzyścią zeń płynącą dla hodowli zwierzyny.

Nikt bowiem nie zaprzeczy, że kula w przeciwieństwie do śrutu ogranicza postrzałki do minimum, a w użyciu na drobniejszą zwierzynę, nawet przy największej sprawności strzelca, oszczędza zwierzyny, dając szczuplejszy rozkład — ale za to jakiej wysokiej wartości!

Wobec powyższych danych, kończąc na dzisiaj, nie mogę nie podnieść jeszcze działania umoralniającego takiego podziału polowania, t. j. jego dodatniego wpływu na rozwój odnośnej etyki myśliwskiej, działającego samoczynnie, zwłaszcza na młodzież aspirującą do łowiectwa wyższej klasy, ucząc ją panowania nad sobą i nad sytuacją.

Dr. Władysław Burzyński.

Niebyłów, 8.11.925.
Perehińsko.

KU ZIMIE.

Przebrzmiały ostatnie tony wspaniałej pieśni króla puszcz.

Nie rozciągają się już po lesie liljowe dywany rozesłanego na jego gody wrzosu.

Na ciemnej, żałobnej zieleni sosnowych i świerkowych gęstwin znaczą się jeno jasnemi, żółto czerwonemi plamami liściaste drzewa, drobnolistne brzozy, płaczki wieczyste, dęby poważne — arystokracja leśna.

Niebo aż w dal, po widnokrąg jest beznadziejnie szare. Tak samo szare są pola puste, tu i tam tylko ruń ozimin żywszym zamajaczy kolorem I szare są wielkie przestrzenie wód, jezior i stawów, Kędy wiatr bije o brzegi falami, albo zaszumi w trzcinach napół zeschłych.

Wstają blade świty — i zachodzą tak samo smutne, jak wstały.

A las, zasypiający na zimowy wywczas, sypie w około barwnemi płatami liści, jak gdyby płakał i polatującemu wiatrowi do wtóru śpiewa.

Bywają ranki mroźne już — ziemia w twardą grudę się zbija. Szron biały pokrywa oziminy.

Bywają dni, kiedy niebo nagle się rozśmieje, błysną radośnie krople dżdżu na liściach drzew, mieni się las jesienny, zamierający w cudnych barwach.

Ale dni przechodzą, jak przyszły, a pozostaje beznadziejnie szara, smutna i tęskna jesień.

Wrony kracząc stadami wielkiemi wysoko na niebie przelatują.

Las w jesiennej szacie rozbrzmiewa czasem zgoła niezwykłemi głosy.

Po przez ostępy niesie się metaliczny dźwięk trąbki. W ciche zagajniki, otulone białym płaszczem mgieł, które wiatr ranny rozwiewa, wdziera się nieustępliwa, przykra, niepokojąca leśnych mieszkańców wrzawa ludzkich pokrzyków.

Chyłkiem lis chytry chowa się w swoją norę bezpieczną, z której nikt go nie dostanie.

Zając trwożliwie przysiada pod jałowcem.

Niespokojnie strzygą łyżkami sarny w wielkiej chmarze.

W niedostępną gęstwinę zaszywa się trzoda dzików.

Aż wolno, ale ciągle zbliżająca się ludzi gromada, dojdzie tuż... tuż... przedrze się przez gąszcz każdy, wytropi i wydepce każde legowisko.

Wówczas poczną uciekać w popłochu, jeden przez drugiego sadzić — mieszkańcy leśni.

Bez orjentacji, niejeden wprost pójdzie na ludzi — i przedrze się szczęśliwie.

Inny — w przeciwnym kierunku, byle dalej od wrzawy, od ludzkich głosów.

Dopiero zacznie się szalony, straszny łoskot.

Z za drzew, niepostrzeżony przez spłoszonego zająca wysunie się cicho, jak cień — człowiek, zagrzmi, aż mu echo odpowie po całym lesie.... I znów zniknie.

A zając tymczasem już bezwładny, ostatniemi siły pręży sztywniejące skoki.

I tak bez końca, nieustannie grzmią strzały. Koziołkują się szaraki, ogłupiałe, błędne, strachem

Szybko — kładą się niemal w powietrzu, ledwie dotykają cewkami ziemi. Przemknęły. Prowadził mocny, piękny, już bezrogi kozioł.

Nareszcie podniosła się z łomotem trzoda dzików.

Krzyk poleciał ogromny: Dziki! Dziki!

Nie jest myśliwym, komu w takiej chwili serce nie zabije mocniej, kto nie wlepi niecierpliwych oczu w gęstwinę, cały zasłuchany w zbliżający się tętent.

Wszyscy na linji pochyleni w nabożnem skupieniu. Ten i ów, w wielkim podnieceniu zmienia



NIEDŹWIADEK.

szalonym zdjęte, wpadają nieraz wprost na stojącego przed niemi człowieka, pod jego śmiercionośną, rozgrzaną wieloma strzałami lufę.

A czasem, w chwili przerwy między jednym hukiem a drugim, zerwie się nagle rozpaczliwe, rozdzierające uszy kniazienie ranionego zająca, do którego zbliża się człowiek, aby uderzeniem kija przez głowę skrócić jego cierpienia. Jakże się wtedy płaszczy, poranionemi skokami ciągnie się po ziemi, słuchy tuli, i przymyka oszalałe ze strachu, bólem patrzące blaski.

Nie powinno mu się żałować drugiego strzału...

Oto chyża saren chmara zwinnemi, lekkiemi susami przez linję sadzi bezpiecznie.

śrót na kulę. Przemykają bezpiecznie zdziwione szaraki, nikt się za niemi nie obejrzy.

Zbliżało się... aż wreszcie łamiąc z trzaskiem gałęzie wychyliła się z gęstwiny zagajnika ciemna, olbrzymia masa... z fukaniem odyniec sadził poprzez dukt.

Posypały się strzały mocne, krótkie... załamał się i przodem, zarywszy pyskiem w ziemię, upadł... podniósł się zaraz i chwiejnie, niepewnym krokiem, mimo strzałów w przeciwległym gąszczu zniknął.

Puszczone na świeży trop psy poszły w las. Chwila ciszy — potem zapamiętałe ujadanie.

Jeden przez drugiego gonił z gotową do strzału strzelbą ku psom.

Nie było trzeba już dobijać: obficie farbując z pyska, pośród mokrego, w pół zeschłego wrzosu, na miękkiem posłaniu z liści — leżał.

Zagrała tryumfalną fanfarą trąbka... Przyniesiono dwa inne ubite wycinki — skupiła się przy rozkładzie szczęśliwa ludzka gromada.

Zmierzch zapadał na jesienny las — wrócił zakłócony spokój.

Opłakiwał spadającym, przez mrozy zwarzonym liściem zabraną jego pieczy zwierzynę, którą wychował i karmił, pieścił i chronił.

Żałobnego marsza szumiały sosnowe zagajniki do wtóru dębom, brzozom... cicho, poważnie.

Smutno — dopóki niebo litościwe nie ukoi białym, niepokalanym płaszczem szarej, jesiennej żałoby. Raźniej wówczas będzie żyć — raźniej umierać w blaskach.

Aleksander Janta-Połczyński.



NASZE BŁOTNIAKI.

(Monografje myśliwskie).

2

Błotniak stawowy (circus rufus) to duży jastrząb, ale wątłej budowy ciała. Upierzenie ma ciemno bronzowe, wpadające u starych sztuk w ton niemal czekoladowy, jednolite bez płomyków i prążków. Tylko na głowie i karku widać rodzaj kaptura, odcinającego się wyraźnie od reszty upierzenia, a zbudowanego z gładkich, przylegających piórek koloru b r u d n o ż ó ł t e g o. U młodych sztuk barwa upierzenia bywa jaśniejsza, niekiedy plamista, ale wogóle zmienna, zależnie od wieku, płci, a nawet od pory roku. U starego samca widać liczne szczeciniaste pióra, rosnące odśrodkowo dokoła oczu i nasady dzioba. Lotki rękowe są ciemne, barkowe przechodzą z barwy bronzowej do ciemno szarej. Stara samica jest nieco jaśniejsza i dlatego podobna do młodych. Tęczówka jasno bronzowa, tak samo woskówka, dziób zakrzywiony, ostry, koloru rogu, paszcza rozcięta szeroko, zdolna do połykania dużych kąsków. Długość ciała dochodzi do 55 cm., szerokość w rozskrzydlu do 136 cm., a długość ogona do 24 cm. Samica jest nieco większa, jak zwykle u ptaków drapieżnych. Wysmukły tułów błotniaka spoczywa na podkasałych, wysokich nogach, okrytych brudno żółtą tarczkowatą skórą, zakończonych trzema trzyczłonowemi palcami, o krótkich czarnych, ostrych szponach. Duża, okrągła głowa, z wielkiemi, ku przodowi skierowanemi oczami, przypomina głowę sowy, co uważać należy za cechę charakterystyczną dla wszystkich błotniaków.

Północna granica rozsiedlenia tego ptaka w Europie biegnie mniej więcej wzdłuż 60-go równoleżnika. Na południe od niego nie brak błotniaka w żadnym kraju europejskim, ani w azjatyckim. Przebywa i w północnej Afryce. Lubi otwarte niziny, pozbawione lasów, a obfitujące w bagniste łąki, stawy i małe jeziora. Dużych zbiorowisk wodnych, odkrytych, unika. Okolic górzystych nie znosi.

Jest ptakiem przelotnym. Przybywa do nas wczesną wiosną, najpóźniej w kwietniu, a odlatuje w początkach października w okolice Morza Śródziemnego. Gnieździ się u nas także.

Gniazdo zakłada na niedostępnych spławach i na ukrytych wśród gęstwy roślin wodnych pniach starych drzew, a w braku suchszych miejsc nawet na wodzie. Samica buduje je z suchych traw, z liści szuwaru i z mchu. Jaj składa 3—5 wielkości jaj pentarki, brudno zielonych, niekiedy bronzowo nakrapianych. Wysiaduje trzy tygodnie. Młode, okryte szarym puchem, karmi wszystkiem, co upoluje, a więc żabami, rybami, myszami, ptaszkami, ale tak-

że młodemi kurkami, kaczkami i t. d. Młode są bardzo żarłoczne i dlatego rosną szybko. Wyleciawszy, towarzyszą rodzicom, przyjmując od nich pokarm w powietrzu; siedzącym w ukryciu w trzcinie, przynoszą rodzice jedzenie w szponach. Latając za rodzicami, wydają głos piszczący, podobny do przeciągłego, miękkego brzmienia „psii". Rodzice, szczególniej samica, przywiązują się do młodych, strzegąc ich starannie i broniąc przed każdem niebezpieczeństwem, niejednokrotnie z narażeniem życia.

Słaba budowa ciała i powolny lot pozwalają błotniakowi polować tylko na drobną zwierzynę, siedzącą, lub pływającą, którą morduje w ukryciu, gdzieś na kępie lub nawet na wodzie. Młode przesiadują dnie całe w sitowiu, stare latają bezustannie, unosząc się nierównym lotem nad stawem. Myśliwe je ich gniazda z jajami lub młodemi i napada, wypijając jaja i zabijając młode. W tym właśnie celu krąży po całych dniach nad wodą i bagnem cierpliwy i wiecznie głodny, dlatego bardzo szkodliwy, a mimo to tolerowany.

Umieściwszy się raz wczesnym wieczorem w gęstem sitowiu z zamiarem czekania na wieczorny ciąg kaczek, siedziałem cicho i podpatrzyłem zblizka życie licznych mieszkańców stawu. Oto przyleciał, zniewolony jakąś nieznaną mi przygodą, młody kszyk, usiadł na błotku nad samą wodą i przywarł całem ciałkiem do niego. Po chwili, upewniwszy się, że go nikt nie śledzi i nie ściga, wyprostował się, zaczął biegać po błocie i zagłębiać raz po raz swój długi dziób w czarnym tłustym mule, niekiedy aż po oczy... Zabawne ruchy ptaka, jego szybkie kroczki



NA STAWIE.

go przypuszczają na bliską odległość, o ile siedzą w trzcinie; wypłoszone najeżdżającym czółnem, podnoszą się ciężko, uderzając gwałtownym ruchem skrzydeł po liściach i rozpuszczając szeroko sterówki. Niestrzelone, zapadają prędko w innem miejscu. Stare sztuki, szybujące nad wodą, trudno podjechać na strzał. W czasie parowania się w maju unoszą się wysoko i wykonują szybkie i zwinne ruchy.

Z pomiędzy wszystkich błotniaków jest błotniak stawowy najszkodliwszy. Pożywienie starych stanowią zazwyczaj ptaki wodne i błotne, szczególniej: młode bekasy, kurki, kaczki, a nawet gęsi. Także i jajami tych ptaków błotniak nie pogardza, ale wypija je zręcznie, spędziwszy wprzód starkę z gniazda. Pożera również żaby, traszki i ryby. Ptaszki śpiewające, jak trzciniaki, remizy, skowronki, przepiórki i kuropatwy nie są wolne od jego napaści, o ile gnieżdżą się w pobliżu stawów. Wypatruje

i zwroty na zmianę z przysiadywaniem, wryły mi się głęboko w pamięć... Od czasu do czasu wpatrywał się we mnie swemi dużemi, pełnemi wyrazu i wdzięku oczami, ale że nawet nie drgnąłem, był swobodny i nie zrywał się do lotu, lecz zaczął się powoli oddalać i wkrótce w szuwarach znikł mi całkiem z oczu. Kilka małych trzciniaków i wróbli trzcinowych przyskakało po źdźbłach trzciny, prawie na odległość kroku i wpatrywało się we mnie ciekawie, a z większem jeszcze zainteresowaniem przyglądało się mojemu psu, siedzącemu obok na snopie trzciny. Zjawiła się również kurka - kokoszka (gallinula chloropus). Zadarłszy ogonek z białem podbiciem, kiwając rytmicznie główką, płynęła pod ścianą oczeretu wprost do mnie... Patrzyła pilnie w wodę i zanurzała często główkę w wodorostach. Widocznie był to ptak młody i niedoświadczony, bo nie zauważył, jak naraz nad nim zamajaczyła sylweta wielkiego błot-

niaka. Zobaczywszy nareszcie groźnego wroga tuż nad sobą, zapiszczało biedactwo żałośnie i usiłowało szybkim zwrotem dostać się do brzegu, by tam w gęstwinie sitowia znaleść ratunek. Było już jednak zapóźno... Błotniak usiadł w jednej chwili nad brzegiem i zagrodził kurce drogę, a uderzając po trawach skrzydłami, odpędził ptaszka znowu na czystą wodę. Zaledwie zniewolona ruchem skrzydeł rabusia kurka odpłynęła, już znowu latał nad nią i wyciągał długie nogi, by ją porwać. Ratując życie, dała nurka, a jastrząb zawisł na moment w powietrzu i patrzył, w którem miejscu ofiara wypłynie. Przewidując wynik nierównej walki, podrażniony zuchwalstwem drapieżnika, nie mogłem dłużej wytrzymać i skorzystawszy z dogodnej sposobności, strąciłem go celnym strzałem z powietrza. Spadł z rozpostartemi skrzydłami i znieruchomiał z zanurzoną w wodzie głową... Kurka wypłynęła wnet i podążyła, kiwając wdzięcznie główką na pożegnanie, na drugą stronę wąskiej zatoki. Strzał mój wzniecił niebywały popłoch wśród mieszkańców tej części stawu, nastała chwila martwej ciszy, wszystko, zda się, czekało z zapartym oddechem na dalsze wydarzenia, gdy się jednak nie poruszyłem, ożywiły się oczerety na nowo i bujne życie stawu zabiło tem żywszem tętnem, że przez chwilę bieg jego był zahamowany.

Błotniak stawowy wyrządza olbrzymie szkody wśród młodych dzikich kaczek i gęsi. Umie wyśledzić ich gniazda, ptaki wysiadujące spędza, a jaja rozbija i wypija. Ptaki silniejsze, jak krzyżówki i gęsi odpędzają go i nie dopuszczają do gniazda, słabsze jednak, jak cyranki, cyraneczki, łyski lub kurki opuszczają gniazdo, zostawiając jaja lub potomstwo na łup rabusia. Młode pokolenia kaczek cierpią wiele od niego. Jak długo zresztą czuwa nad niemi ostrożna i przezorna matka, tak długo potrafi i może swoje pokolenie przed szponami błotniaka uchronić, gdy jednak nieopatrzny strzelec zabije starkę, co się u nas dość często wydarza, zwłaszcza, gdy się zaczyna polowanie na kaczki wcześniej niż przed 15-tym lipca, wówczas ulega zazwyczaj całe pokolenie żarłoczności błotniaka. Wyśledziwszy je chytrze i zauważywszy nieobecność matki, wyławia jedno kaczę po drugiem. A łatwo mu to przychodzi dlatego, że unosząc się nad kaczętami tuż nad wodą, albo skacząc w pogoni za niemi z trzciny na trzcinę, zdobywa nad przestraszonym drobiazgiem fizyczną przewagę i chwyta zdobycz zazwyczaj w tym momencie, kiedy ta zmęczona ucieczką i ciągłem nurkowaniem już się dalej poruszać nie może. Błotniak oczekuje tej chwili także, gdy ofiara, kończąc nurkowanie, wypływa dla zaczerpnięcia tchu na powierzchnię; widzi on ją z góry w czystej wodzie doskonale, rzuca się na nią w chwili wypływania i chwyta w szpony. Widywałem mnóstwo szczątków, pozostałych po zjedzonych przez błotniaka kaczętach; małe szkielety i pióra w pałkach świadczyły aż nadto wymownie o bytności na stawie tego szkodnika. Odstrzeliwanie matek, czy to od młodych kaczek, czy od kuropatw, czy od cietrzewi uważałem za ciężkie myśliwskie przekroczenie i uchybienie względem etyki łowieckiej choćby dlatego, że osierocone potomstwo skazuje się wtedy prawie zawsze na nieuchronną zagładę.

Wł. Gürtler.

(D. c. n.).



Czas ochrony naszej zwierzyny.

Nie ulega wątpliwości, że zwierzostan się u nas z roku na rok polepsza i powiększa, zwłaszcza w Wielkopolsce, dzięki zabiegom hodowców, którzy swe zadanie zrozumieli. Głównym źródłem i środowiskiem naszego zwierza są bezwarunkowo lasy państwowe, gdzie każdy leśnik uważa sobie za punkt honoru wyhodować jaknajwięcej zwierzyny, aby móc konkurować z sąsiadem. Poczucie pełnienia obowiązków jest tutaj wielkie i należy się spodziewać, że w najbliższych latach dojdziemy do stą-

nu przedwojennego. Tutaj jest koniecznością, aby nam Rząd przyszedł z pomocą. Ustawy muszą być zmienione, gdyż dawniejsze są przestarzałe i nie odpowiadają obecnej chwili i stosunkom. Sądy wymierzają na niskie kary za kłusownictwo, ustawy są za szerokie, czas ochrony za krótki, polowanie nocą jest dozwolone *) i właśnie ten ostatni punkt jest jednym z najpoważniejszych hamulców, który paraliżuje czynność racjonalnej hodowli. Tutaj zwierzyna najbardziej cierpi. Kłusownik lub dzierżawca siedzi po całych nocach pod lasem i czeka na biednego zwierza, który na pole ciągnie, aby go zamordować loftkami lub siekańcami. Nikły procent staje się jego zdobyczą, reszta zestrzelanego zwierza wraca bez racic, zmasakrowana do gąszczy, aby w największych cierpieniach marnie zginąć. I właśnie to strzelanie bezkarne po nocach nie doprowadzi zwierzostanu naszego do pełnego rozkwitu. Z jamy wykopanej pod lasem, dostaje ognia wszystko to co się rusza, nawet leśnik pełniący swoją służbę poczuje namacalnie, że przy jego granicy „nemrod" siedzi. W nocy, rodzaju zwierzyny rozpoznać nie można, kotne kocice, sarna, łania idą na kiełbasy i zaspakajają wykwintną kuchnię smakoszy.

Brzmi to troszeczkę humorystycznie, lecz prawdziwemu myśliwemu - hodowcy, na płacz się zbiera. Jak już wspomniałem, całą nadzieją naszą są nowo projektowane ustawy, które takiemu barbarzyństwu w przyszłości kres położą. Czas ochrony jest również za krótki.

Aby na zające wolno było polować od 1 października, nie widzę tutaj zupełnie racji*). Szarak na 1 października jest niewyrośnięty, siedzi w kartoflach lub burakach, jak kamień mocno, że go kijem można zabić, samice tembardziej, i giną „na szukanego" bezwzględnie. Ubić o tej porze większą ilość zajęcy, to nie wytrzymają transportu; ceny niskie i zbytu na nie niema. A od granic opolować trzeba, gdyż każda noc przynosi nam szalone straty. 15-ty październik a nawet 1 listopad wystarczyłby zupełnie jako dzień rozpoczęcia polowania, a do 15 stycznia każdy, choćby w największym łowisku może teren swój opolować, jeśli coś zostanie, to i na przyszły rok się przyda i nie zginie.

Również rogacz, jak na nasze stosunki, ma za mało ochrony. Od 1-go czerwca do 1 lub 15 października każdy myśliwy może swoje rogacze odstrzelić, a poza tym terminem, żaden szanujący się myśliwy nie będzie strzelał do rogacza bez parostków. Są to plenipotencje, które się niepotrzebnie kłusownikom w rękę daje.

Dzik nie ma zupełnie ochrony. Jestem ciekaw z jakiego powodu? Czy to jest po myśliwsku, a może po ludzku odstrzelić starą lochę w miesiącu czerwcu lub lipcu od maleńkich warchlaków, które giną po krótkim czasie głodową śmiercią?

Mam wielką nadzieję, że nowe ustawodawstwo łowieckie oprze się na zasadach prawideł łowieckich i ludzkich, nasz szlachetny zwierz będzie mniej męczarni przechodził, hodowca - myśliwy będzie spokojniej w przyszłość patrzył.

T. Metzig.

*) Polowanie nocą jest wzbronione w b. Kr. Kongres. (Ros. Ust. Gosp. Wiejsk. z 1903 r. Art. 413) i w Woj. Wsch. (Rozp. Komis. Gen. Ziem Wsch. z 1920 r. Art. 15). Obowiązującą na ziemiach b. zab. pruskiego K. K. pruski przewiduje za polowanie nocne obostrzenie kar (§ 293). Projekt naszej ustawy Łow. wzbroni polowań od zach. do wsch. słońca zw. polowania na słonki, głuszce, cietrzewie, łosie i jelenie, wilki i wydry oraz kaczki na zlotach. (Przyp. Red.).

*) Projekt Ustawy Łowieckiej przewiduje otwarcie polowania na zające w dn. 15.X. — (Przyp. Red.).

W sprawie polowania na zające.

W „Przeglądzie Myśliwskim" już dość dawno wywiązała się polemika w sprawie najlepszego i najracjonalniejszego polowania na zające. Zaczęło się od ostrej napaści na polowanie — „rzeź" zajęcy w kociołku. Że samo polowanie i zabijanie zajęcy w kociołku nie jest najpiękniejszym sportem myśliwskim, to pewno, lecz przyznać trzeba, że jest to jeden z racjonalniejszych sposobów z zastrzeżeniami bardzo treściwie ujętemi w Nr. 20, na początku artykułu „Żeby zwierzostan u nas nie upadał". Zachowanie wspomnianych tam warunków jest konieczne i wtedy niema żadnej obawy, by zwierzostan upadał z tego powodu. Przeciwnie, napewno będzie się podnosił, gdyż zające przez długi czas mając spokój, będą się na takim terenie spokojnie zbierać i pomyślnie prowadzić dzieło rozmnożenia, uchodząc z terenów sąsiednich, gdzie im po piętach chodzą, prześladują wciąż i ciągłym hukiem wystraszają.

Jednak ładniejsze i najracjonalniejsze jest polowanie z naganką, gdyż daje więcej myśliwskiej emocji, wymaga celniejszego strzelania, uchwycenia w danym miejscu najlepszego punktu, jako stanowiska, przyczem zajęczyce częściej niż zające uchodzą na boki i przez nagankę. Przy polowaniach z naganką prawie nigdy nie zdarzy się wypadek, jaki zapewne nieraz się zdarza przy polowaniu „w kociołku" i jaki miał właśnie u mnie miejsce

w maj. Łęgu w Poznańskiem, gdzie przy „zakończaniu“ kociołka jeden z chłopaków z naganki kijem zabił zająca, czy zajęczycę i przyznam, że w owej chwili było mi wstyd, że ja ze strzelbą w ręku staję z nim do konkurencji. Ja wogóle niechętnie u siebie urządzam polowanie w kociołku, a gdy robię, to nigdy nie pozwalając robić mordu do ostatniego, przy tem sam puszczam bez strzału te, które mi się wydają samicami, co też w zeszłym roku korespondent - myśliwy podkreślił w „Przeglądzie Myśliwskim“, zdając sprawozdanie z polowania u mnie.

Najszkodliwsze polowanie dla zajęcy jest polowanie „na pomyka“, zwłaszcza na terenach włościańskich, gdzie albo nie polują, a łażą za kotem i pukają, lub też to samo robią proszeni i nieproszeni goście, jak w Kongresówce, albo jak w Poznańskiem, gdzie jeden, lub paru gospodarzy na współkę wydzierżawiają polowanie od całej wsi i odrazu w pierwszym roku chcą ubitymi zającami pokryć z nadwyżką koszta dzierżawy i swoich często niefortunnych strzałów. W rezultacie polują co drugi dzień na pomyka i wybijają albo kaleczą wszystko.

Paru moich znajomych skarżyło mi się niedawno, że mają niedaleko Warszawy ok. 2000 morgów myśliwskiego terenu i że pomimo, iż pilnują swego terenu i sami zabijają rocznie zaledwie 20 sztuk — ilość zajęcy nie zwiększa się, a jest ciągle prawie ta sama. Rozwiązanie proste: na 20 sztuk jest 18 samic zabitych, co radziłem im sprawdzić, bo polują zawsze na pomyka, a reszta kotów opuszcza teren ogołocony z płci pięknej i wędruje w sąsiednie okolice i wówczas wogóle samce prowadzą żywot koczowniczy.

Tu muszę zaznaczyć, co nie wszystkim myśliwym jest wiadomem, że przy dobrych chęciach, wprawnym oku, dobrej broni i celnych strzałach, nawet przy polowaniu na pomyka można zwierzostan bardzo ochronić, mianowicie, starając się samic nigdy nie strzelać. Jak poznać!?

Otóż tu zachodzi trudność w objaśnieniu, bo oczywiście uszy mają takie same i najłatwiej byłoby objaśnić na żywym przykładzie w czasie polowania, co też myśliwi powinni sobie wzajemnie świadczyć. To jest sprawa bardzo ważna, gdyż jeden samiec wystarczy na 6 — 8 samic, a nieraz wiosną widzimy, jak 4 — 5 samców ugania się za jedną samicą.

Otóż po pierwsze samica—zajęczyca znacznie twardziej leży i normalnie dopuszcza człowieka bardzo blizko o 10 — 20 kroków, a samiec się podrywa prędzej o 30 — 50 kroków, a czasem już o dobre 100 kroków i im dalej się porwie, tem wyraźniej go można poznać. Samo podrywanie jeszcze nie stanowi, gdyż choć rzadko, jednak się zdarzają oczywiście i wypadki przeciwne, że i samiec dotrzyma mocniej i myśliwego zupełnie blizko dopuści. Właśnie więc po drugie — kiedy samiec się podrywa, ucieka kilkanaście kroków, a potem prawie zawsze robi parę lansad — lekkich galopów, podrzucając silnie tył i pokazując wówczas swój „bilet wizytowy“, t. j. odwracając wyraźnie swój ogonek do góry i świecąc białym futerkiem tego ogona, a po tem pędzi dalej; niezwłocznie po tych lansadach jeżeli jest o jakie 50 — 60 kroków, trzeba go strzelić i nieomylnie zawsze będzie samiec. Samica, gdy się porwie, to cicho, skromnie przytulając się do ziemi, zawsze ze spuszczonym ogonkiem ucieka. Takiej bezwzględnie nigdy nie strzelać.

W tym roku sam u siebie zabiłem na pomyka 9 zajęcy, z tego 8 kotów, a jedną samicę, polując w październiku na kuropatwy. Niestrzelanych zajęcy puściłem przeszło dwadzieścia, by raczej puścić niestrzelanego samca, niż zabić cenną samicę.

Olgierd Gordzialkowski.

„VAE LEPORIBUS“

(POLOWANIE „NA POMYKA“).

Sprawa polowania „na pomyka“ nie przestaje być poważną troską wszystkich myśliwych i od dłuższego czasu temat ten jest omawiany na łamach pism łowieckich.

Faktycznie gdy się widzi co niedziela czy święto, liczne rzesze częstokroć „pseudo - myśliwych“, obarczonych nieraz kilkoma, tak łatwo przeważnie zdobytymi, szarakami, musi zaboleć serce każdego prawdziwego myśliwego - hodowcy, miłośnika zwierzyny, na widok dokonanej przez takich „myśliwych“ rzezi.

Uważam, że kompletny zakaz polowania „na pomyka“ chybiałby może celu, krzywdząc tych prawdziwych myśliwych, którzy w poczuciu obowiązku i godności swojej, nie strzelają w s z y s t k i c h napotykanych zajęcy, w sezonie gdy najłatwiej zdobycz ta przychodzi i strzał najmniejszej trudności nie sprawia.

Sądzę, że przedłużenie jednak czasu ochrony zajęcy przynajmniej do 20 — 25 października, t. j. do czasu gdy silniejsze mrozy czynią zwierzynę trudniejszą do zdobycia, jest rzeczą niezbędną. Skądinąd

trzeba mieć na względzie fakt, że w październiku często się jeszcze spotyka kotne samice i zabijanie ich przynosi zwierzostanom olbrzymie straty.

Charakterystyczną wysoce rzeczą jest, że dziś gdy ma się możność obserwowania licznych rzeszy, w większości wypadków „tak zwanych myśliwych", prócz zajęcy, stanowiących dziś najłatwiejszą zdobycz, bardzo rzadko widzi się u nich inne trofea jak np.: kaczki, kuropatwy, nie mówiąc już o kszykach, które na mokradłach okolic Zagłębia licznie się spotyka; nie strzelają jednak ci myśliwi do kszyków raz dla trudności strzału, po drugie —gdyż strzał taki się ‚nie opłaca". — Widocznem jest z tego, że ci „quasi" myśliwi polują jedynie „na mięso" i poczytują sobie za punkt honoru wszystkie napotkane zające wybić do nogi bez ograniczenia liczby.

Jest to jeszcze jeden dowód do odn. interwencji odpowiednich czynników w sprawie ograniczenia do minimum wydawania przez władze biletów na



VAE LEPORIBUS!

broń myśliwską i do poddania ścisłej rewizji dotąd wydanych pozwoleń przy ich maksymalnej redukcji.

Zlekceważenie tych arcy-ważnych spraw pociągnie niechybnie za sobą wielki dla naszych zwierzostanów uszczerbek.

Stefan Ostrowski.

KRZYK DUSZY MYŚLIWSKIEJ.

W Nr. 17 „Łowca Polskiego" z 1-go Listopada 1925 artykuł p. Bohdana Grzymały Przecławskiego— wywiera zaiste przejmujące swą grozą wrażenie! Odczuwać się w nim daje, ból szczery miłośnika przyrody, wiernego adepta kultu Ś-go Huberta, wobec tej naszej karygodnej można powiedzieć lekko-

myślności, z jaką niszczymy spuściznę przodków — już i tak zdziesiątkowaną niemiłosiernie, przez rządy moskiewsko-azjatyckie i wojnę europejską.

Zaprawdę! — dziwić się jeszcze należy, że tak świetnie opisane przez Sz. Autora typy — jak p. W. strzelający „honorowo" zające w bruzdach upatrzone „po główce", jak się wyraża barwnie i obrazowo, — albo taki pan F. — którego rodzina ma idyosynkrazję wrodzoną do combrów zajęczych — natomiast wielkim ich zwolennikiem jest wierny ogar-kłusownik, poczciwy psina Grom — znajdują jednak jeszcze objekty, dla swych wspólnych niszczycielskich instynktów na terenach polskich łowisk!

Już i w dobie obecnej, dożyliśmy do tego, że lubując się widokiem zawieszonych na wystawach sklepów przeróżnych br. Pakulskich poległych szaraków, mamy nieraz wrażenie poniekąd, że tak powiem „muzealności", tych okazów naszego łowiectwa!

Jeśli tempem podobnem dalej pójdzie niszczenie tych coraz rzadszych u nas najskromniejszych przedstawicieli fauny myśliwskiej, to zaprzestanie podobna psychika dusz naszych być objawem przeczulenia li tylko, w smutną rzeczywistość się przeistaczając!

Gorzka ironjo! — Zając — okazem muzealnym.

I to w Polsce, na ziemiach litewskich, na których, jak mówi poeta, „ryby, grzyby i wędliny" — oraz huk zwierzyny!

Ryb coprawda dostarcza nam Sowdepja jak najobficiej, ze szkodą naszego rybołówstwa, gdyż ze śmiesznie małem cłem, trzech groszy zdaje mi się od kila!? — muchomorów mamy coprawda w urodzajne lata bez liku, świń i wieprzy do domowego użytku i nawet na eksport „multum".

Zwierzyna zaś nieszczęsna, coraz bardziej kwalifikuje się do biurokratycznej rubryki „vacat"! Za to, co za bogate, głęboko uczone referaty oczekują nas, kiedy to niemal każdego reproduktora rodu zajęczego z Czech lub Węgier wypadnie sprowadzać, celem poratowania rodzimych zwierzostanów!

Smutne „Polnische Wirtchaft", jak mówią nasi „najserdeczniejsi" sąsiedzi, lub „mądry Polak po szkodzie", swojskie, lecz nie mniej smutne przysłowie narodowe.

Najzupełniej się zgadzam z Sz. Autorem, co do skrótu terminów rozpoczęcia polowań zajęczych, osobiście jeszczebym dodał i ujął po dwa tygodnie dla Ziem kresowych, mianowicie: czas ochronny rozpoczynałby się 15 stycznia, aż do 1-go listopada. Dwa i pół miesięcy, dostateczne dla wykonania prawdziwie świetnych rozkładów zajęcy, „notabene" na terenach posiadających miłych „leporydów"! Rok okrągły natomiast, — termin za krótki tam, gdzie pustką i zniszczeniem wieje!

Wiadomym jest, że najwięcej ginie szaraków „wydeptanych" przez „legalnych" posiadaczy kart łowieckich, jegomościów z prawdziwie godną ubolewania łatwością otrzymujących ze starostw owe dokumenty, o których Autor wspomina.

Otóż, specjalnie dla nich, zarządzenie podobne, ogromnieby utrudniło ów „szlachetny" umiłowany przez nich sport antimyśliwski!

Deptać albowiem po polach ogołoconych z resztek wszelkiej gospodarczej roślinności, daleko gorzej się „kalkuluje", niż wypłaszanie z naturalnych „remiz", jakiemi niezawodnie są dla zajęcy kartofliska, pola buraczane, rżyska nawet! Trudnem też dla zacnego kundelka zadaniem, byłoby wystawienie kota na tle beznadziejnych Sahar jesiennych!

Pozostaną coprawda oziminy, szczególnie pszenne, na których to, jak wiadomo, tak lubi o tej porze długosłuchy przebywać.

Ale trudno! — muszą też i demokratyczni przedstawiciele Nemrodów mieć jakie takie ukontentowanie!

Coprawda podobne „deptanie" wywołać często zdoła ze strony właścicieli tych drobnych terenów obsianych, znowu nie jeden energiczny objaw „sprzeciwu" i „nieukontentowania!" Za co chwała Bogu Wszechmocnemu!

Przechodząc następnie do fatalnego dla rodu zajęcy polowania „na wychodnego" w nocy, oraz tropienia na polach, po białej, zimowej stopie, sądzę, że powinny te wandalskie metody podlegać całkowitemu wzbronieniu, lecz faktycznemu, a nie papierowemu tylko.

Zdaje mi się, że nasza dzielna Policja Państwowa, na tyle jest obarczoną pracą biurową oraz czuwaniem nad ładem i bezpieczeństwem ogólnem, że dopóki ne stworzy się u nas specjalnej instytucji zaprzysiężonej straży polowej, na wzór francuskich „gardes champetres" podległych łowczemu generalnemu z ramienia Departamentu Łowiectwa, o konieczności utworzenia, którego już pisałem, niewiele wskóramy pod jej chociażby najgorliwszą egidą!

Myśl Autora o przeszkoleniu na wzorowych łowiskach Poznańskiego i Pomorza Policji — sama przez się wyborna — bardzo trudna w wykonaniu! Słyszę już oburzone głosy! Jakto!? Stworzenie etatu nowych funkcjonarjuszy!? A cóż na to powie szereg cały zwolenników redukcji oszczędnościowych!

No, trudno! — albo będziemy posiadać wogóle gałęź gospodarstwa i bogactwa krajowego — łowiectwem zwaną, albo rezygnujemy raz na zawsze z mrzonek niedościgłych!

Albo damy następnym pokoleniom możność czerpania zdrowia moralnego i fizycznego z najszlachetniejszego ze sportów, lub pozostawimy w spuś-

ciźnie odstrzał szczurów, myszy, żab i wróbli, tych ostatnich zresztą też nie na bardzo długą przyszłość, gdyż bez należytej opieki wróbelki zmarnieją i wyginą wkrótce...

Polowania z kotłami osobiście przyznaję się— mało mi są sympatyczne — gdyż ginie przy tem znaczny odsetek samic — no! i przy klasowych strzelbach, gdyż partaczy i pudlarzy zwykle się nie zaprasza — trudnem jest bardzo szarakowi wyślizgnąć się cało z opresji!

Nieboracy padają, jak gruszki dojrzałe z otrząsanego drzewa.

Lecz, jako procent pobierany od masy zwierzostanowej, należycie hodowanej, mają owe łowy swą rację bytu i mogą być dopuszczalne, przy nieuganianiu się za bajecznemi rozkładami, gwoli sprawozdań prasowych.

Jako strzał do ruchomego celu, jest to niezawodnie sport „strzelecki", lecz przenigdy nie ściśle „myśliwski" — gdyż ani znajomości terenu, zwyczajów zwierzyny nie wymagający, jako też nie darzący cudnemi przeżyciami oczekiwań łowieckich, podczas pędzeń nagankowych.

Fakt odstrzału głuszca, królewskiego wiosny pieśniarza, powierzony gajowym, to oburzające barbarzyństwo, godne najgłębszego ubolewania! Dlaczegóż ślepy traf oddaje nieraz skarby monarszych zaiście zwierzostanów, w ciemne (pomimo dyplomów wszelkich!), niepowołane ręce!?

Obecnie, kiedy to referat łowiecki w Ministerstwie Rolnictwa trafił po tak długim czasie bezkrólewia na tem stanowisku w ręce męża tyle pełnego energji, sprężystości, ukochania przyrody, jakim jest Juljan Ejsmond, niewątpliwie będziemy świadkami szeregu zbawiennych zarządzeń, byleby opracowaną przez Niego ustawę udało się przeprowadzić przez Sejm.

Szczęść więc mu Boże i nasz Patronie, święty Hubercie! Zresztą rękojmią powodzenia są ludzie o pokroju duchowem Sz. Autora p. Bohdana Grzymały Przecławskiego.

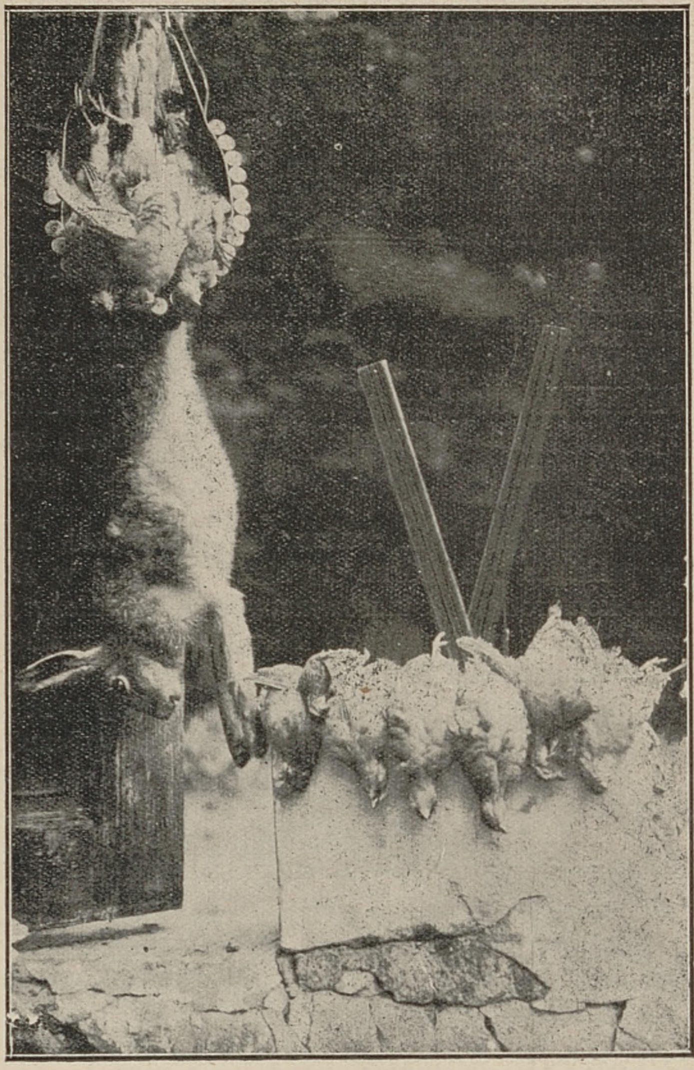
Dopóki w sercach łowieckich żyje tyle troski o losy tych skromnych objektów naszych rozkoszy, owych stworzeń Bożych bądź to skrzydlatych, bądź na powierzchni Świętej Ziemi Matki żyjących, dopóki mamy „dusze" podobne śród nas — przyszłość i źródła upojeń na tle odwiecznem Piękna Wszechstworza, wiośnianych zaczarowań, zórz splendorów, szarug zadumanych jesieni, zawiei śniegowych, na granitowem spiżu spoczywają.

A tymczasem pracujmy! myślmy! radźmy, rąk nie zakładając, nie zrażając się nigdy przeszkodami.

Krzywdę każdą rodowi skromnych kuropatewek, szaraczków poczciwych (nie od celnego, prawidłowego strzału oczywiście wyrządzoną), za własną uważajmy.

A dobrze będzie na szerokiem świecie łowieckim!

Dobrze już się stało, że artykuły podobne jak



Pożegnanie jesieni. Fot. dr. Hłasko.

Sz. Autora w Nr. 17 „Łowca", widzą szpalty dziennikarskie.

Redakcji więc Szanownej „Łowca Polskiego" i Sz. Autorowi też — serdeczne, staropolskie „Bóg zapłać" się należy od nas wszystkich rzetelnych adeptów Wielkiego Patrona naszego — za prośbę o „ratunek" — za krzyk entuzjazmu! — za skarbiec Jego duszy myśliwskiej — tak szczodrze przed nami odkrytej.

Adam hr. Rzewuski.

Borsuki (Wołyń). 8.XI.25.

PLAGA KŁUSOWNICTWA.

W związku z artykułem p. Nowakowskiego z 1.VII. b. r. ukazała się w nr. 20 „Przeglądu myśliwskiego“ odpowiedź podpisana przez pp. Michalskiego i Sidorowicza, którzy wyrażają w niej poglądy wymagające dokładniejszego omówienia.

A więc po pierwsze nie widzę racji, dlaczego karanie kłusownictwa, a więc jednego z najnikczemniejszych przestępstw, ma być niezgodnem z duchem demokracji — i dlaczego mamy kłusowników tylko uświadamiać, a innych przestępców karać i tępić nadal, jak to czyniono w państwach zaborczych?

Ani teoretycznie — gdyż cechą prawdziwej demokracji jest wolność i praworządność, a nie samowola i bezrząd — ani też praktycznie. Z chwilą bowiem zaprzestania lub złagodzenia karania kłusowników, mogłyby zupełnie słusznie zażądać podobnych przywilejów inne rodzaje złodziei i wogóle wszystkie pokrewne klasy przestępców!

Ani więc na drodze ustawodawczej, ani w praktyce, nie można się nigdy wdawać w żadne kompromisy z kłusownictwem — a należy je zwalczać z całą możliwą surowością w ramach obowiązujących ustaw. Jeżeli zaś zdecydowaliśmy się na ich zmianę, to chyba tylko należałoby je obostrzyć, biorąc pod uwagę demoralizację powojenną! I pod tym względem ma też p. Nowakowski zupełną słuszność!

Żadnej bowiem gałęzi przestępczości nie można przeciwstawiać samego tylko uświadamiania; ludność wiejską, jako mającą z racji swego zawodu najwięcej sposobności i pokusy do uprawiania kłusownictwa należy swoją drogą uświadamiać, co jest wdzięcznem polem do popisu dla nauczycieli, księży, pisarzy i t. p., jako przebywających stale na wsi. Natomiast oddziaływanie w tym kierunku ze strony inteligencji miejskiej i dworskiej nie miałoby wedle mego zdania widoków powodzenia ze względu na notoryczną nieufność włościaństwa do tych sfer. Niezależnie jednak od tej akcji kulturalnej, której wyniki muszą być z natury rzeczy obliczane na dziesiątki lat, musi równomiernie i bezustanku funkcjonować leczenie tej choroby społecznej, jaką zaczyna stawać się kłusownictwo, drogą represji!

Surowe kary i ich publiczne ogłaszanie były i będą zawsze — tak samo w republikach, jak i w cesarstwach — najpoważniejszym czynnikiem w walce z przestępstwem i najskuteczniejszym rodzajem propagandy!

Ani ja osobiście, czemu dałem wyraz z swych poprzednich wystąpieniach, ani p. Nowakowski, który w odnośnym artykule swym piętnuje także kłusowników ze sfery urzędniczej, ani też wogóle żaden myśliwy niema zamiaru twierdzić, że tylko ludność wiejska uprawia kłusownictwo, albo też żądać karania tylko kłusowników wiejskich. Owszem, kłusownik, czy pseudomyśliwy, musi być ściganym i unieszkodliwonym radykalnie bez względu na swój zawód, majątek, stanowisko i t. d. Rozumie się, że ciemnotę i wrodzoną żyłkę kłusowniczą możnaby zasadniczo uważać za pewnego rodzaju okoliczność łagodzącą przy wymiarze kar — z drugiej strony jednak słowo „ciemnota“ — choć naogół bardzo wytrzymałe — nie da się znowu tak dalece naciągać, żeby mogło pokryć takie nawet czyny, jak np. strzelanie kotnych łań, lub łapanie na śniegu przemarzniętych kuropatw!

Zresztą sytuacja naszego łowiectwa jest obecnie tak krytyczną, a plaga kłusownictwa przybiera tak katastrofalne rozmiary i tak zuchwałe formy, że nie czas dzisiaj na bawienie się w podobne sentymenty i przytępianie ostrza i tak już niezbyt ostrych przepisów prawnych! Tembardziej, że naodwrót we wszystkich kodeksach karnych przestępstwa uprawiane nałogowo, karane są ostrzej!

Przeciwnie nawet, jeżeli nie nastąpi w najbliższym czasie radykalna poprawa stosunków, trzeba będzie poważnie się zastanowić nad kwestją wprowadzenia przejściowego jakichś specjalnie ostrych i doraźnie działających postanowień karnych, któreby umożliwiły przeniesienie walki z kłusownictwem z dziedziny beznadziejno - papierowej dyskusji na grunt realny!

Należy bowiem pamiętać o tem, że demokracja nie może się ostać na samych tylko uprawnieniach; muszą też istnieć obowiązki i ich poszanowanie! Ustawy muszą być przestrzegane bez względu na to, do jakich dziedzin życia się odnoszą, gdyż wszelkie tolerowane bezprawie jest zaraźliwem! Przysłowiowe zaś lekceważenie przepisów łowieckich uprawiane nietylko przez ciemnego chłopa, lub budnika kolejowego, lecz nieraz także przez inteligentów, posiadających nawet wszelkie formalne wymogi i papiery w porządku, jest tak samo groźnem dla poczucia prawnego w społeczeństwie, jak np. bandytyzm, lub łapownictwo; zresztą od kłusownictwa do bandytyzmu jest już tylko jeden krok!

W naszych więc oczach kwestja kłusownictwa wyrasta poza ramy swego dotychczasowego znaczenia partykularnego i ze sprawy obchodzącej tylko myśliwych, staje się przedmiotem zainteresowania całego społeczeństwa, które we własnym dobrze zrozumianym interesie nie powinno go lekceważyć. Nie może bowiem pozostać obojętnym dla

ogółu państwowo myślących obywateli fakt, że istnieje sfera prawna, w której ignoruje się bezkarnie ustawy, naraża stale i otwarcie na pośmiewisko organa bezpieczeństwa i sądy, niszczy się dla chwilowej rozrywki lub marnego i efemerycznego zysku owoce cudzej ciężkiej pracy, pełnej zamiłowania i wytrwałości, a wreszcie poniewiera się przyrodę w jej twórczej pracy i wychowuje w poczuciu bezkarności i powabu przestępstwa młode pokolenia!

Żaden więc przestępca, czy to kłusownik, czy inny złodziej i czy ze wsi, czy z miasta, nie może liczyć na jakieś wyjątkowe, albo uprzywilejowane traktowanie — i nie powinno się wysuwać atutów politycznych na jego obronę; każdy natomiast musi być jednako ścigany, karany i tępiony. Niema bowiem kompromisu, ani zawieszenia broni z przestępstwem — w walce z niem niema żadnej drogi pośredniej; można tylko albo bezwzględnie walczyć, albo poddać się na łaskę i niełaskę! Społeczeństwo tolerujące zbrodnię nie może pozostać biernym widzem spowodowanej przez to anarchji, lecz musi jej ulec i pójść jej na pastwę!

Z tych więc powodów nie możemy rezygnować z tej nawet niedoskonałej broni w walce z kłusownictwem, jaką nam dają przepisy prawne, pozostawione przez państwa zaborcze, a dotychczas obowiązujące. I jeżeli ma już być mowa o ich zmianie, to chyba tylko w tym kierunku, by je zaostrzyć!

Ze strony zaś uświadamiających ludność wiejską ideowców, oczekujemy z niecierpliwością wieści i danych statystycznych o wynikach ich działalności, jak np. wykazów wydanych sądom niepoprawnych kłusowników, odesłanych do posterunków policji bezprawnie posiadanych karabinów, przyłapanych na gruntach wiejskich kłusujących przybyszy z miast, zainicjowanego przez gospodarzy dożywiania zwierzyny zimą i t.d.

Ja jednak osobiście zapatruję się na tę akcję bardzo sceptycznie; jeżeli bowiem nie mogła się rozwinąć szerzej wobec bierności i niechęci interesowanej ludności wiejskiej, ani komasacja rozkawałkowanych gruntów, ani spółdzielnie produkcyjne, konsumcyjne, czy meljoracyjne, ani też rozmaite inne poczynania, niosące pewne i bezpośrednie korzyści — to tembardziej nie wiele należy mieć nadziei, by wieśniak obliczający zwykle na krótką metę i przyzwyczajony do używania łowiectwa za źródło ubocznego dochodu, nie wymagające żadnych wkładów, dał się porwać do akcji łowieckiej, obejmującej dalsze horyzonty!

Po drugie nie wyobrażam sobie, jak dałaby się prowadzić racjonalna gospodarka łowiecka na kilku albo kilkudziesięciu morgach, albo jak mogłoby zadowolić namiętności myśliwskie i postulaty aprowizacyjne swych członków kółko myśliwskie, mające np. 150 członków, a 2000 morgów łowisk!

Z tego też powodu idea tworzenia gminnych kółek myśliwskich*) wydaje się chybioną i niezgodną z duchem ustaw łowieckich wszystkich trzech zaborów. Możemy bowiem zarzucać przyrodzie konserwatyzm i brak poczucia demokracji, możemy, ile chcemy narzekać na monopolizowanie myśliwstwa i t. p., ale nic poradzimy na to nic i nie obalimy żelaznej siły faktu, że zwierzyny niema na tyle, żeby każdy mógł ile chce i kiedy chce polować!

M o ż n a r o z p a r c e l o w a ć g r u n t a w i e l k i e j i ś r e d n i e j w ł a s n o ś c i, a l e n i e m o ż n a r o z p a r c e l o w a ć ł o w i e c t w a, m o ż n a j e c o n a j w y ż e j z n i s z c z y ć !

Polować więc może tylko ten, kto chce i może ponosić ciężary finansowe, związane z hodowlą i ochroną zwierzyny, z podróżami do odległych nieraz łowisk i t. d. Ciężarów zaś tych nie można absolutnie rozproszkować przez tworzenie kółek o wielkiej ilości słabych finansowo członków na małych obszarach, bo wtedy wzrasta proporcjonalnie do zmniejszania się ciężarów ilość uprawnionych do polowania, a nie może wzrastać zwierzostan!

Z drugiej zaś strony wydaje mi się nieco paradoksalną taka sytuacja, żeby współpracujący bezpośrednio z przyrodą wieśniak miał być wyłączonym od korzystania z łowieckich rozrywek i korzyści. Rozwiązanie tej kwestji leżałoby w tem, by myśliwi wiejscy wpisywali się do powiatowych klubów łowieckich, lub też tworzyli kółka, łączące łowiska kilku sąsiednich gmin.

Wogóle zaś wszystkie kółka i kluby łowieckie, czy to wiejskie, czy powiatowe powinny bezwarunkowo przestrzegać zasady, by na jednego członka wypadało przynajmniej 100 morgów łowisk; kółek o stosunku mniej korzystnym nie powinny władze administracyjne z zasady zatwierdzać! Wszystkie zaś przejawy gospodarki, tak klubów łowieckich, jak i osób pojedyńczych muszą być stale i ściśle nadzorowane; na szczególne uwzględnienie zasługują przedewszystkiem takie kwestje, jak utrzymanie straży łowieckiej i jej wartość, polowanie przez uprawnionych i ilość zezwoleń na polowanie udzielonych osobom postronnym, odstrzał roczny zwierzyny i t. d. W razie stwierdzenia nadużyć, powinny władze odnośne rewiry łowieckie odbierać, względnie rozwiązywać z urzędu odnośne kółka.

Wogóle zaś nie należy dopuszczać do tworzenia się masowego gminnych kółek myśliwskich na małych obszarach łowisk, gdyż to prowadziłoby w praktyce do wytworzenia się zasady, że każdy poluje na swoim kawałku gruntu i do zupełnego wytępienia zwierzyny! *Czesław Mańkowski.*

*) W razie oparcia gminnego kółka na zasadach koniecznego minimum terenu jest ono objawem dodatnim i pożądanym. (Przyp. Red.).

Wyprawa myśliwska do Abissynji.

8

1.II. Noc była zimna, ponura i pełna nieuchwytnego przygnębienia. Muły gryzły się pomiędzy sobą i coraz to wybuchały rozpaczliwym kwikiem; wielbłądy sapały, jak kowalskie miechy. Około północy ozwała się gdzieś hjena, pierwsza którą słyszałem na afrykańskim lądzie, i jęła zawodzić niby puszczyk, płakać i śmiać się, krążyła widać wkoło obozu w poszukiwanu resztek jedzenia czy padliny jakiejś, bo głos jej płynął zewsząd otaczając nas do świtu niemal histerycznem koliskiem.

Słońce zastało nas już na nogach. Śród równiny usianej krzewami, karawana popłynęła niby olbrzymi wąż, karna i zgodna w ruchach. Sokoli wzrok Alego dojrzał wnet stadko kuropatw myszkujące w trawach; potem drugie, trzecie. Sagari podbiegł ku mnie i śmiejąc się szeroko oznajmił.

„Zaraz będzie woda, panie!"

W samo południe, pod okapem przetykanych mchem głazów znaleźliśmy niewielkie źródło; woda była mętna, ciepła, i płynęła skąpo, jednak lepsze było to, niż nic, a więc postanowiliśmy tu przenocować.

Po obiedzie, gdy upał nieco się zmniejszył, ruszyłem na polowanie. Zabiłem bez trudu kilka kuropatw i zająca, który mi się po strzale do ptaków porwał niemal z pod nóg. Zając abisyński jest mniejszy od naszego szaraka i ma ciemniejsze futerko; kuropatwy są większe niż w Polsce, a na głowie mają czubki ułożone z nieco dłuższych piórek.

4.II. Przedwczoraj znowu dzień cały wzdychaliśmy do pożądanej wody; mieliśmy jej coprawda spory zapas, zaczerpnięty na ostatniem postoju, ale tak mętnej i niesmacznej, że nawet po przefiltrowaniu trudno ją było pić. Zaledwie nadawała się do potraw. Po paru godzinach poszukiwań, którym sagari idący po obu stronach karawany i w znacznem od niej oddaleniu, poświęcali się z zapałem, Musu odkrył trzy kałuże brunatnego płynu w wyschłem łożysku rzecznem. Pompatycznie płyn ten nazwał wodą. Z odkrycia tego skorzystały zresztą jedynie wielbłądy, bo muły pomimo upału nie dały się do picia namówić.

W południe stanęliśmy na dłuższy wypoczynek; i oto w czasie obiadu okazało się nagle, że zginęły dwa muły: jeden zapasowy, zwyczajny, drugi, mój wierzchowiec, zupełnie biały i pomimo przykrego charakteru bardzo cenny. Zresztą tutaj już trudno by je było nową, choć by tylko możliwą parą bydląt zastąpić. Należało więc natychmiast rozpocząć poszukiwania. Wprawdzie nie spodziewaliśmy się tu jeszcze obecności lwów, lampartów, lub panter, czyli inaczej mówiąc wielkich drapieżców, których łupem muły mogły się stać. Ale jakże łatwo, nastraszone przez szakale lub hjeny mogły się na znaczną przestrzeń oddalić; jakże łatwo również mogły trafić w ręce tuziemców zawsze chciwych cudzego dobra.

Wyruszyłem bez zwłoki na poszukiwania. Musu i Ali wzięci do pomocy krążyli śród zarośli, jeden zprawa, drugi zlewa odemnie. Narazie rezultat był taki, że co parę chwil płoszyli stada kuropatw i pentarek; zabiłem wkrótce po kilka sztuk każdego gatunku.

Muły znaleźliśmy niezbyt daleko od obozu, śród niewielkiej łączki. Smacznie zajadały trawę, ale na nasz widok „biały" parsknął gniewnie, stanął dęba i pogalopował, pociągając za sobą towarzysza. Somalisi pędem ruszyli w pogoń; szybkość ich biegu, oraz wytrwałość jest zadziwiająca. Bardzo sprytnie skierowali uciekającą parę ku zaroślom kolczastej mimozy, poczem zamknęli im odwrót, wrzeszcząc przytem niby potępieńcy i machając zdjętemi z bioder szmatami, wreszcie skoczyli do nozdrzy ogłupiałych zwierząt, rozwiązując w ten sposób zwycięzko sytuację. Potem wróciliśmy do obozu, i tak się wyprawa skończyła. Mam jednak wrażenie, że poza memi plecami epilog był jeszcze cokolwiek inny: oba długouche stworzenia otrzymały zapewne sporą porcję kijów.

Wczoraj szliśmy najpierw żyzną doliną pomiędzy dwoma łańcuchami wzgórz. Pentarki i kuropatwy porywały się z pomiędzy traw tak często, że już w godzinę po wyruszeniu w drogę, mieliśmy wystarczający zapas mięsa na cały dzień. Około południa nastąpiło ciekawe spotkanie. Oto jadąc w znacznem oddaleniu od czoła karawany, usłyszałem naraz charakterystyczne chrząkanie, a wnet potem ujrzałem dwa duże dziki. Ryły ziemię u stóp wspaniałej palmy zwrócone do mnie bokiem. Niestety miałem przy sobie tylko lekką fuzję nabitą śrutem. Strzelać do abisyńskiego dzika wiedząc z góry, że się go jedynie zrani, jest to narażać się na pewne kalectwo lub śmierć; zwierzę to, wyjątkowo złośliwe i silne, atakuje zawsze, a powaliwszy swą ofiarę znęca się nad nią z zamiłowaniem. Ali, niosący karabin nabity kulami, przybiegł na pierwsze skinienie, ale dziki snać usłyszawszy szelest, przestały ryć, a potem skryły się w zaroślach tak szybko, że nie zdążyłem nawet broni do ramienia przyłożyć.

Południowy odpoczynek wypadł nam śród

rozkosznej kotliny pełnej bajecznych kwiatów i motyli, co niby porwane wiatrem barwne płatki krążyły w powietrzu. Ale wnet potem musieliśmy się piąć w górę, ścieżką stromą i krętą, sadzącą po przez głazy i wyrwy. Słońce, nie hamowane konarami drzew ogarniało nas powodzią światła i żaru. Rozpalony piach i żwir odbijały promienie słoneczne niby tysiączne reflektory.

Zginęły z oczu drzewa, potem krzewy i trawy. Nic, tylko szare złomy ni to ziemi przepalonej upałem, ni to zwietrzałych głazów. Ani śladu zwierzęcego życia. Pustka zupełna, i jeśli pominąć gwar naszej karawany, cisza również zupełna.

Ciekaw jestem, czy długo potrwa ten beznadziejny krajobraz? Jedyną osobą zdolną dać mi odpowiedź, jest nasz przewodnik. Zbliżam się więc doń i pytam. Odpowiada natychmiast: widać, istotnie dobrze zna te strony. Otóż twierdzi, że drogi takiej, a może i gorszej, jest jeszcze na trzy do czterech godzin. Wesoła perspektywa! Dochodzi czwarta, a noc zapada o szóstej.

Urządzamy z panem D. krótką naradę. Sytuacja tak się przedstawia, że w tej pustynnej miejscowości obozu bezwarunkowo rozbijać na noc nie można. Mniejsza już bowiem z tem, że nie znajdujemy tu wody, (wodę mamy ze sobą w worach), ale jak oko sięgnie nie widać ani trawy, ani krzewów, ani drzew, słowem nic, co by mogło służyć za pokarm wielbłądom i mułom. Trzymać je zaś o głodzie do następnego południa jest nieludzkie i niewygodne dla nas samych. Więc co robić?

Ostatecznie uradziliśmy co następuje: my dwaj, to jest pan D. i ja, ruszymy przodem i dotarłszy, według obliczeń przewodnika, przed zachodem słońca jeszcze do somalijskiej wioski, poprosimy wodza o gościnność na parę godzin. Tymczasem nadejdzie reszta karawany.

Zachwycony byłem naszym projektem. Tak mi zbrzydła powolna wędrówka śród śmiertelnie nudnego krajobrazu, że każda rozmaitość wydawała mi się słodką. Wypytaliśmy więc dokładnie przewodnika o drogę i ruszyliśmy drobnym truchtem. Ali i Musu, wyciągnąwszy długie nogi, z całą łatwościa dotrzymali kroku mułom.

B. Gordzialkowski.

(D. c. n.)

KRONIKA KŁUSOWNICZA.

Rozwydrzenie kłusowników przechodzi wszelkie granice.

Pan St. Mienkina, członek Zarządu Dąbrowskiego Tow. Prawidł. Myśl. zakomunikawał mi o następującem zdarzeniu. Będąc w niedzielę, 25 z. m., na dzierżawionym przez siebie terenie Witowice, pod Miechowem, pan M. zauważył polujących kłusowników, którzy zobaczywszy pana M. salwowali się ucieczką. P. M. zaczął gonić złoczyńców, którzy zginęli jak kamfora w gęsto porośniętym krzakami parowie górzystego terenu i wszelkie poszukiwania okazały się daremne. Gdy po dłuższym czasie p. M. był na drugim końcu swego terenu, usłyszał nagle strzały i zobaczył tych samych kłusowników, którzy najspokojniej w świecie, widząc, że p. M. odszedł daleko, kontynuowali „polowanie", goniąc po oziminie postrzelonego zająca. Ze względu na zbyt wielką odległość i duże zmęczenie, oraz zdenerwowanie, p. M. zaniechał dalszego pościgu i musiał „volens - nolens" dać za wygraną, tembardziej, że „polując" blisko wsi kłusownicy łatwo byliby się schronili u „swoich".

Tak się przedstawia w streszczeniu samo zajście, — a teraz garść przykrych refleksyj. Najwięcej w danym wypadku, sądzę, winne są władze bezpieczeństwa, t. j. policja lokalna, obowiązkiem której jest pilne śledzenie i tępienie tego rodzaju nadużyć ze strony kłusowników - opryszków, czelność których przechodzi wszelką miarę, gdyż dotąd chyba nie było faktu, aby kłusownicy w biały dzień, podczas obecności właściciela, j a w n i e „polowali". Wyżej wspomniani kłusownicy muszą, skądinąd, być tamtejszej policji dobrze znani (posterunek gminy Rzeżuśnia, pow. Miechowski), gdyż cała wieś Witowice wskazuje na Byczka (z zawodu młynarczyka) i Rosoła (gospodarza wsi Witowice) jako na starych, notorycznych kłusowników i oni to właśnie „polowali". Karygodne więc w danym razie jest zachowanie się policji i tolerowanie występku.

Nic też dziwnego, że właściciel danego terenu, skądinąd bardzo pomyślnego pod każdym względem dla rozwoju zwierzyny, nb. bardzo rzadko polując, po uciążliwym i starannem całodziennem szukaniu, widział danego dnia zaledwie 3 — 4 zajęcy i kilka stad kuropatw, do których dla wiadomych względów kłusownicy nie strzelają, bo to się nie opłaca.

A teraz parę słów pod adresem Centr. Związku Pol. Stow. Łowieckich, naszej macierzy, z prośbą, aby łaskawie zechciał silnie zainterwenjować jak i gdzie należy, za pośrednictwem odpowiednich władz (Województwo, Starostwo, Komenda Policji), celem pouczenia policji o jej obowiązkach

i pobudzenia do wydajniejszej akcji i bezwzględnego odebrania broni rzeczonym kłusownikom, zamieszkałym we wsi Witowice, przy jednoczesnem pociągnięciu ich do surowej odpowiedzialności.

Pan M. zaznaczył, że przyszedłszy na stację w Miechowie widział kilku policjantów, którym zakomunikował szczegółowo o zajściu i prosił o odn. ukrócenie nadużyć i zrobienie co do nich należy. Nie wiadomo jednak czy policja tamtejsza postara się stanąć na wysokości zadania, gdyż sądząc z niebywałego rozzuchwalenia tamtejszych kłusowników, należałoby przypuszczać bardzo małą „gorliwość“ policji w tym względzie, że nie chcę się już inaczej wyrazić.

Poza mnóstwem wszelkich nowo - kreowanych, w Polsce, legalnych pseudo - hypernemrodów, vel „quasi“ myśliwych „minorum gentium“, walczyć do upadłego musimy z całą bandą nielegalnych, do niemożliwości rozwydrzonych (jak z powyższego widzimy), kłusowników, najwidoczniej tolerowanych przez policję, która w pierwszym rzędzie ma obowiązek i możność, będąc na miejscu, czuwania i ukrócenia kłusowniczej plagi.

Zaznaczam tu jeszcze „pour la bonne regle“, że widziałem ostatniej niedzieli na stacji w Myszkowie powracającą falę groźnych „quasi“ świeżo upieczonych nemrodów (a imię ich legjon), z których jeden dość młody kandydat na myśliwego, chełpił się demonstrując upolowanych dwóch maleńkich zajączków, które prawdopodobnie pochodziły z sierpniowego miotu. Nasuwa się tu pytanie, jak można nazwać takiego „myśliwego“, który nie zawaha się strzelić takie maleństwa zupełnie jeszcze niewyrośnięte? Są to widoczne, a smutne skutki nieopatrznego wydawania, bez najmniejszego zastanowienia, biletów na broń różnym niepowołanym osobnikom, którzy pomimo podwójnych ócz (pan ów miał binokle), nie są w stanie rozróżnić widać do czego strzelają.

Powracając do sprawy kłusowniczej, należy bezwarunkowo z jednej strony za wykazaną gorliwość przedstawiać policjantów do nagrody, lub też wynagradzać ich w ten czy inny sposób, z drugiej jednak, w razie wykrycia jak w danym wypadku, tolerowania nadużyć, należy odpowiednio monitować na właściwej drodze i dawać surowe nagany za opieszałość czy ignorowanie obowiązku.

Stefan Ostrowski.

Broń i amunicja.

W SPRAWIE GILZ „POCISKU“.

Odpowiadając na ankietę o jakości gilz i naboi „Pocisk“, zaznaczam, co następuje: Gilzy i całe naboje fabryki „Pocisk“, są najzupełniej doskonałe, może nawet przewyższają zagraniczne pod względem dobroci i solidnego wykończenia. Kapiszon jest świetny, bardzo miękki, zatem pewny nawet przy słabszych sprężynach zamków; niezbyt duży, a więc względnie tańszy.

Tektura doskonała, można nabijać kilkakrotnie, bez obawy rozepknięcia i zniszczenia brzegów przy zakręcaniu. Całe naboje wypróbowałem dokładnie i bardzo się dziwię, że u nas jeszcze strzelają zagranicznemi, tembardziej, że nasze powinny być cokolwiek tańsze.

O ile by to nie podrażało towaru, to mogłaby fabryka „Pocisk“ wyrabiać gilzy w różnych kolorach i z jakimś napisem, lub firmą na tekturze.

Ja będę nimi strzelał i bez napisów, ale wiem, że taka ozdoba powierzchowna dla niektórych ma duże znaczenie: uważają te naboje za gorszy gatunek, dlatego, że gładkie.

Słyszałem, że fabryka sprzedawać mniejszych transportów, jak 10,000 sztuk gilz, nie chce, więc taką ilość nie każdy skład chce, czy może wziąć, zwłaszcza składy prowincjonalne.

Bardzo ważnym jest sposób sprzedawania amunicji przez składy; wchodzi np. kupujący do składu i prosi o pewną ilość naboi, podając kaliber i Nr. śrutu, a rzadko kiedy wymienia jakiej firmy, czy fabryki. Jest to prawie dla większości obojętne, więc sprzedający daje niemieckie, albo angielskie, lub też polskie i kupujący najczęściej bierze takie, jakie mu dają.

Bardzo dużo zależy od składów amunicji, ażebyśmy strzelali polskiemi nabojami, a są doskonałe.

A. Krakowiak.

Bardzo obfity materjał, nadesłany nam w ostatniej chwili, w odpowiedzi na ankietę — podamy w nast. numerze.